



WYBÓR

Lech Wałęsa

Do członków rozwiązanego
Związku Polskich Artystów
Plastyków

Po raz kolejny zwracam się do Polskich Artystów z okazji II rocznicy rozwiązania Waszej organizacji twórczej, w której podjęliście tak poważnie, w poczuciu solidarności - nie tylko problemy artystyczne, ale i obywatelskie. Na płaszczyźnie programu Solidarności nastąpiło nasze spotkanie, którego owoce trwają do dziś, co więcej - jestem przekonany, że dziś wszyscy razem uświadamiamy sobie coraz wyraźniej nasze obowiązki dzisiejsze i kierunek pracy, jaka jest przed nami.

W drodze, którą rozpoczęliśmy razem w Sierpniu 1980 roku macie swoje własne, ważne i poważne zadanie. Robotnik nie potrafi być może pełnić funkcji wytrawnego mecenasa sztuki, ale może dać Wam jedno - pewność, że jeżeli traficie do jego serca i wyobraźni, dzieło przez Was stworzone potrafi zamienić w sztandar, jasno i pięknie wyrażający wszystko, co jest do powiedzenia. Tak stało się w Sierpniu kiedy powstał nieśmiertelny symbol naszego związku Solidarność.

Dziś, od kilku już lat spotykamy się wspólnie w galeriach, którymi stały się polskie kościoły. Jeżeli czasem doskwiera Wam ograniczenie, któremu podlegacie w swojej pracy - wiedźcie, że nigdy dotychczas Waszych prac nie przeżywano głębiej i pełniej.

Dlatego pracujemy wspólnie, wspierając się wzajemnie, poszukując coraz pełniejszego kształtu idei wolności i godności człowieka i narodu, która powstała wraz z Sierpniem, a która zwycięży, bo nie powstała dla klęski. Powstała do zwycięstwa!

Szczęść Boże i do zobaczenia na naszych Sierpniowych Rocznicach.

Lech Wałęsa ■

Gdańsk, 25 czerwca 1985 roku

Kronika

"WIECZERNIK" Ernesta Brylla, oprócz warszawskiej realizacji Andrzeja Wajdy, doczekał się również prezentacji w Gdańsku.

9 kwietnia, w bazylice św. Mikołaja /OO. Dominikanie/ odbyła się premiera spektaklu reżyserowanego przez Halinę Słojewską. W roli Magdaleny wystąpiła Halina Winiarska, w roli Tomasza - Stefan Iżykowski, Piotra - Jerzy Kiszkis, Jana - Krzysztof Matuszewski, Jakuba - Roman Talarczyk.

Aranżacja plastyczna - Marian Kołodziej, światło - Jerzy Konieczny, muzyka - Bogusław Grabowski. ■

Miejsce po środku

Ostatnio najmodniejszym miejscem stało się centrum. Po polsku: **środek**. Autorzy bardziej obcy w świecie mówią, że są w centrum. Przywiązani do określeń rodzimych - że w **środku**. Ale o co chodzi i jednym i drugim, nie zawsze łatwo zrozumieć.

Daniel Passent pisze: "Politycznie izotemperamentu jestem zwolennikiem centrum" /Polityka nr 16 z 20 kwietnia 1985/. "Do tego centrum staram się dołożyć cegiełkę". Jeżeli Passent jest w centrum to znaczy, że w centrum jest "Polityka" i nowy związek dziennikarzy WRON i PRON, 13 grudnia i ustawa o nadzwyczajnej regulacji prawnej bezrobocia dla niepokornych i kryminałów dla źle widzianych. Wszystko to - z biurem politycznym i sztabem generalnym na czele - jest w centrum, skoro w centrum znalazł się Daniel Passent.

Bardzo nam nieporęcznie po Passencie wymieniać kogoś z zupełnej innej parafii, ale co mamy robić, kiedy w "Odrze" nr 3 /marzec 1985/ w stałej rubryce Urszuli Koziół "Z poczekalni" czytamy:

"Jest u nas spora grupa ludzi prawych i od lat znanych ze stałości przekonań, na których jednakże ci z prawej i ci z lewej strony spoglądają z ukosa, mając im za złe głównie to właśnie, że ci uparcie trzymają się **środku**, czyli prawideł jakiego takiego umiaru. Najpierw miano im wiele za złe w latach czterdziestych i w początkach lat pięćdziesiątych /że nie wołała hura i nie kwapiła się do deklaracyjnych oświadczeń/. Po roku 56 mogliby o tym i o owym coś powiedzieć, ale zostali zatupiani przez rzesze świeżo nawróconych na prawdę, którzy tak żaliwie kajali się i tak spektakularnie bili się w piersi za uprzednie przewiny, aż dudniło i zagłuszyło /czyli usunęło w cień/ tych, którzy podobnych nawróceń nie musieli wcale dostępować publicznie, pozostając w dalszym ciągu takimi, jakimi byli i wprzód. To samo powtórzyło się w siedemdziesiątym i osiemdziesiątym. I tak dalej.

Przeglądając od tej strony nasze dzieje, można by wyciągnąć niezbyt wesoły wniosek, że u nas w cenie są nie tyle, czyjeś autentyczne postawy i stałość przekonań, ile huczne ich manifestacje, deklaracje oraz szumne inwersje i konwersje jednej grupy osób, która niezmiennie ma za złe tym ze **środku**, że chcą wytrwać przy swoim, nawet gdyby w dobie kryzysowej ten ich "złoty **środek**" miał na pierwszy rzut oka minę nieco tombakową.

Ale i lewa, i prawa strona wie zapewne i to /stąd ich niecierpliwość/, że ci ze **środku**, choć na dobrą sprawę nie mają ani osobne-

go przedstawicielstwa przy wspólnym stole, ani środkowej trybuny, stanowią siłę, która przeważa - zawsze w samą porę - języczek u wagi słusznych jedynie racji".

"Odra" jest zacytowanym pismem, Urszula Koziół - znakomitą poetką i osobą godną szacunku, ale wypowiedź jej - którą przytoczyliśmy w całości - zasmuciła nas, świadczy bowiem o podatności również umysłów niezależnych /"środkowych"/ na podsuwane bynajmniej nie "ze **środku**" stereotypy, w tym na mit hałaśliwej ekstremy, od której warto się odciąć, żeby "w samą porę" stać się "języczkiem u wagi" wojujących krańcowych racji. Pisarka powtarza również twierdzenie którym od trzydziestu lat władza usiłuje skompromitować opozycję, że mianowicie chodzi o zawsze tę samą "jedną grupę osób", która w latach czterdziestych wołała hura, a następnie się nawróciła i swoje spektakularne kajanie się zamieniła w antypaństwowy ekstremizm. Gdyby autorki nie zaślepiła w tym miejscu dziwna u kogoś tak umiarkowanego zapalczywość, nie przeoczyłaby przecież, że większość "ekstremistów" z "Solidarności" w latach czterdziestych, jeżeli w ogóle zdążyła już przyjąć na świat, to najwyżej wołała "mama". Co do tych starszych, którzy istotnie zmienili poglądy, to przez całe dziesięciolecie płacili za to /i nadal płacą/ wystarczająco widoczną cenę, żeby "prawdą" jakiegoś takiego umiaru" nakazywały nie wypowiadać im, i to w chórze z publicystami Passentowego "centrum", niedysyjszych pochopnych akosów. Wracając do "języczka u wagi" - kiedyż to w realnym socjalizmie i między kim a kim byli nim "ci ze **środku**"? W 1968 roku - między obitym Stefanem Kisielewskim a moczarską bojówką? W 1970 - między rozstrzelanymi stoczniovcami a sztabem Kliszki, Kociołka i Korczyńskiego? W 1980 - między dobrą nadzieją lawinowo rosnącej "Solidarności" a kluczeniem i knuciem PZPR? I kto tu był lewicą kto zaś prawicą? Bo kto jest nieumiarkowaną ekstremą, wyrokuje zawsze jedna strona - i to ona sklasyfikowała w ten sposób m.in. ostatni zarząd Związku Literatów Polskich, którego członkiem była również Urszula Koziół...

W końcowym fragmencie poetka zdaje się tęsknić za "osobnym przedstawicielstwem przy wspólnym stole" dla "tych ze **środku**". Słyszysz się czasem o zabiegach /nie ze strony poetów/, żeby takie "przedstawicielstwo" czy "trybunę" uzyskać. Kto wie, może dojdzie do realizacji podobnych tęsknot, tylko że ci, którzy się na to zdecydowali, nie znajdują się przy wspólnym stole pomiędzy jakimiś reprezentacjami odmiennych racji: znajduje się sam na sam z jedną przemoż-

ciąg dalszy strona 2

na siłą, z jednym ośrodkiem niepo-
dważalnych decyzji i wszystko fał-
szujących manipulacji. Czy ciągle
będą się czuli ludźmi środka?

Scriptores ■

P.S. - Ledwie odnotowaliśmy po-
niektóre opcje centrowe, a dobieg-
ły nas kolejne - i jakże miarodaj-
ne - głosy na ten sam temat. Mie-
czysław F. Rakowski w wywiadzie
udzielnym krakowskiemu "Zdaniu"
i przedrukowanym przez "Politykę"
nr 23 /8.VI.1985/ pod tytułem, a
jakże, "Środek i skrajności", po-
twierdza swoje samookreślenie
sprzed kilku lat: "Z natury jestem
centrystą" i nie zgadza się z oce-
ną swoich rozmówców, że "po 13
grudnia /.../ środek - w sensie
politycznym - praktycznie przestał
istnieć". Centryzm Rakowskiego
polega na przykład na tym, że,
aczkolwiek, jak zaznacza, "nie
jest w niejednym przypadku wyzna-
cą poglądów głoszonych w piśmie

"Rzeczywistość", to "byłby zdecy-
dowanie przeciwny jakimkolwiek
krokem represyjnym". Stwierdzając
z aprobatą, że w środowiskach opi-
niotwórczych "jest dziś większa
niż wczoraj" gotowość do zajęcia
postaw centrowych, dorzuca wszak-
że: "... nie uważam, że powinniś-
my hołubić wszystkich, głównie
mam na myśli tych, którzy chcieli-
by sędzić okrakiem /.../ raz dru-
kować w "Tygodniku Powszechnym",
a innym razem w "Polityce". ...
"Nie wiemy, o kogo tu chodzi, bo
chyba nie o centrowego profesora
Grzegorzczaka. W każdym razie, kie-
dy speszni rozmówcy Wicepremiera
zauważają nieśmiało, iż "w miarę
normalizowania się sytuacji ko-
nieczna wydaje się faza przejścio-
wa: i tu, i tam - nasz zwolennik
środku i przeciwnik skrajności
ostro replikuje: "Tu i tam - w
czasach, gdy na każdym kroku spo-
tykamy się z przejawami ostrej
walki nie tylko politycznej, ale
i ideowej?"

I bądź tu, człowieku, centrystą.

Nic świętego

Dwie duże nowele Eustachego Ryl-
skiego, dość tajemniczej osobisto-
ści, która zjawiała się w naszej li-
teraturze w ubiegłym roku - "Stan-
kiewicz" i "Powrót", są utworami
na tyle wysokiej klasy, że trzeba
traktować je poważnie. Ale z satys-
fakcją z pojawienia się nowego ta-
lentu miesza się niepokój: przes-
łanie obu tekstów jest dziwnie
dwuznaczne, by nie rzec: cyniczne.
Z techniką literacką, właściwą dla
prozy rosyjskiej XIX w., łączy się
"moral insanity", na jakie poczy-
wy wiek XIX nie chciał sobie pozwo-
lić. Dla ludzi tamtych czasów był-
by to rodzaj oszustwa, szulerki,
złamania reguł gry, słowem - nóż
w rękawie dżentelmena.
Bohater pierwszego opowiadania
jest wynarodowionym Polakiem, car-
skim oficerem, który bez nienawis-
ci, bez poczucia obowiązku, raczej
z pańskiej fanaberii dokonuje zem-
sty na Kozaku, który przed wielu
dziesiątkami lat, podczas Powsta-
nia Styczniowego, ściął głowę je-
go ojcu. Drugie opowiadanie jest
rodzajem sagi rodzinnej, przy czym
protoplasta rodu bogaci się na han-
dlu z powstańcami, potem wydaje
ich w ręce wojsk carskich i wresz-
cie przejmuje ich majątki. Zarówno
Stankiewicz, jak i młody Rogoyski
/wnuk owego, scharakteryzowanego
wyżej, self-made-mana/ są ludźmi
bez celu w życiu, inteligentnymi
brutalami, spoglądającymi z wyż-
szością na nędzne mróweczki krzą-
tające się i walczące, którym
chodzi o jakieś niepojęte sprawy.
I autor nie dystansuje się od nich.
A nawet w wywiadach /licznie udzie-
lanych/ przyświadcza: "tak było".
Jasne, że spór z Rylskim ustawił
dyskutanta na pozycjach "bogooj-
czyźnianych" i powoduje automatycz-
ne /jak powiedziałby Gombrowicz/
jego "upupienie". To znaczy - pcha-
go w krąg dziecinnych lektur,
gdzie zło jest zawsze ukarane, ku
Sienkiewiczowi, którego intelektu-
alną nicość ukazał osiemdziesiąt
lat temu Brzozowski. A jednak ma
się ochotę być z głupio dobrym
Sienkiewiczem przeciwko "nowoczes-
nemu" Brzozowskiemu, ze śmieszną
polską tradycją przeciw jej rew-
latorowi, z XIX wiekiem - przeciw
współczesnemu moralnemu relatywis-
cie. Może dlatego, że pisanie
"ku pokrzepieniu serc" nie jest
dziś czymś anachronicznym i bła-
hym. A może dlatego, że spod for-
muły "tak było" wзира - wyczuwa
się to intuicyjnie - pogarda.
W "Łuku" Kadena-Bandrowskiego,
powieści opisującej lata 1914-15,
bohaterka ogląda ze wzgórz, w to-
warzystwie austriackiego oficera,
bitwę /skądinąd ową Ulinę Małą,
która przeszła do legendarnej le-
gendy/ i, patrząc, jak ostatni
legioniści opuszczają miasteczko,
myśli sobie tak: "O Boże, i znów
się krew polska, jak tyle razy,
poleje, dobrze, że teraz przynajm-
niej Austriak nimi dowodzi, więc
się chociaż raz może obejść bez
masowego wieszania na koniec".
Tak myśli matka-Polka, patrząc,
jak nasi idą w bój o Ojczyznę -
i jest to, rzecz jasna, okropna
provokacja i orzech przeciw naro-
dowym świętościom. Ale napisał
to Kaden, kronikarz Legionów, ma-
jący za sobą książkę o Komendan-
cie i hagiograficzny życiorys Li-
sa-Kuli i mogący sobie pozwolić

na, jak mówił, "ukazanie odwrot-
nej strony kanwy życia ówczesnego".
Nie bronił się argumentem, że "tak
było"; miał na myśli "było i tak"
- o b o k, bo oddał sprawiedli-
wość obu stronom medalu. Był w
moralnym prawie.

Czytając Rylskiego trudno nie mieć
w pamięci tak oczywistych rosyjs-
kich konsekwencji tej prozy, i mimo
woli rodzi się pytanie: czyżby
razem z formą nie został tu aby
zapożyczony "rosyjski punkt wi-
dzenia", śmiech z szaleńczej dę-
my pokonanych, którzy klęski nie
przyjmują do wiadomości? Może to
nie przypadek, że obaj bohaterowie
Rylskiego są tak fatalistycznie
bierni - inaczej bierni, niż to
się zdarza mieszkańcom Prywislins-
kiego Kraju - i dlatego czują się
tu tak obco? A może istotnie draż-
ni pisarza ta złość, poczucie
braku winy za nieszczęścia, któ-
rych tak nienawidził w Polakach
Dostojewski?

Byłoby pójściem za daleko zastana-
wanie się, w jakiej mierze świa-
dome są te pokrewieństwa Rylskiego
z literaturą wspaniałą, ale bardzo
Polaków nie lubiącą. Natomiast

z pewnością na konto pisarza poli-
tyczny wypada sprawę inną, nierównie
bardziej paskudną: to, że pisząc
o narodowej apostazji, nie tylko
nie przydaje jej jednoznacznej
oceny moralnej, lecz w ogóle prze-
chodzi ponad nią do porządku. "Tak
było". Niestety, dla publiczności
dla której Rylski zdecydował się
pisać, w tym, co pominięte - i w
samym fakcie pominięcia! - kryje
się sprawa, która ją interesuje.
Publiczność ta nie jest przeciwna
autokrytyce /wystarczy wspomnieć
sukces piarstwa Władysława Ter-
leckiego/, lecz boli ją i obraża
obojętność wobec narodowej obojęt-
ności.

Nie ukrywajmy: tu właśnie narusz-
one zostało jakieś tabu. Ale nie
takie, którego należałoby się wsty-
dzić. Przeciwnie: istnieją wszak
wartości i ten, kto się w ich krę-
gu obraca, powinien ustosunkować
się do nich. Jeśli zaś nie chce
- cóż ma nam do zaproponowania?
A skoro już mowa o tabu: Rylski ut-
rzymuje w wywiadach, że fakty,
przez siebie opisane, zaczerpnął z
kronik rodzinnych. W tym miejscu
przychodzi na myśl uwaga Czesława
Miłosza, jaką rzucił w rozmowach
z Ewą Czarnecką: "Nie wiem, na
czym polega psychika ekshibicjo-
nistyczna. Czy na tym, że facet
wali, że dla niego nie ma absolut-
nie nic świętego? Fenomenem pod
tym względem był Dostojewski. W
"Idiocie" jest taki zwariowany
generał, który opowiada o swoich
wielkich czynach bohaterskich.
Mówi, że w czasie wojny z Napo-
leonem urwało mu nogę. Pochował więc
tę nogę i postawił jej nagrobek. I
I podaje napis z tego nagrobka.
W rzeczywistości jest to napis,
który był umieszczony na nagrobku
matki Dostojewskiego. Jest to dla
mnie przerażające, absolutna groza
Jak można!"

Marek Biedka ■

Kronika

Poznań w 85

W Galerii Bez Miejsca kolejny po-
kaz - rysunki z cyklu "Interwen-
cje" Bogdana Kraśniewskiego z To-
runia, laureata Nagrody Kultural-
nej Solidarności za 1983 rok.



Kronika

Lech Wałęsa spotkał się 14 czer-
wca br. w Duszpasterstwie Środowisk
Twórczych ze środowiskiem artys-
tyczno-naukowym Trójmiasta. ■

Polacy są przedstawicielami starego świata, szczepem wyrzuconym z nurtu historii, wyspą anachronizmu zagubioną w żywiole przemian świata. Nie zawsze zdają sobie z tego sprawę, często pozostają wierni swojej anachroniczności jakoby tak bezwiednie, jakby nawet wbrew sobie. Nie wszyscy, oczywiście. Hubert Stankiewicz, bohater opowiadania Eustachego Rylskiego, mocując się ze swoją polskością w obliczu bolszewickiego przewrotu zauważa: "Jestem w tym i jestem obok tego. Myślę, że bolszewicy, jeśli zwyciężą, dokonają totalnego pogromu tego wszystkiego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni i przywiązani, i na gruzach zaczął budować od początku to, co zniszczyli. Dokładnie to samo. Po-zornie jest to absurd, ale kto wie czy taka rotacja nie jest konieczna. Historia zna takie przypadki. Może jesteśmy już przerasowani, zdegenerowani. Możliwe, że wszystko, co reprezentujemy, jest już na szmelc."

Stankiewicz jest Polakiem z pochodzenia, wychowanym, po śmierci ojca /powstańca z 1863/ w rodzinie rosyjskiej, na oficera zawodowego. Trudno by było powiedzieć, że jest zruszczony. Po nagłym zgonie matki wyrusza do Warszawy w poszukiwaniu korzeni. Odnajduje prowincjonalną, anachroniczną stolicę Przywiślańskiego Kraju: "Warszawa nie zrobiła na Stankiewicza najlepszego wrażenia. Wydawała mu się mała, brudna i prowincjonalna. /.../ Pomyślał, że jest to miasto, którego mieszkańcy, zabiegani i zajęci swoimi drobnymi sprawami, żyją trochę nie wiadomo po co. /.../ Warszawa nie sprawiała wrażenia miasta okupowanego, ale też nie była miastem niezależnym, wolnym, i to się czuło. Czuło się wszechobecny, miękki obezwładniający przymus, rodzający bardzo swoisty rodzaj oporu. Oporu, jak mu się wydawało, istniejącego w sferze intelektualnej, a nie emocjonalnej, w związku z tym niepowszechnego."

Cóż Polska - myślał omijając kałużę. - Priwiślański Kraj, akurat taki sam jak Nadamurski i każdy inny. Dużo krajów w Państwie carów, a to jeden z nich. Nawet napisy wszędzie tylko po rosyjsku, co tu mówić: Polska, śmieszne po prostu."

x x x

Nie bez przyznawania mu racji słucha Stankiewicz wywodów kupca zbożowego z Podola na temat urody polskich kobiet: "- Jak one, szanowny panie, mogą być ładne - mruczał kupiec pożerając olbrzymią jajecznicę - kiedy oni tu rypią się, panie, za przeproszeniem, między sobą na okrągło. Wujek kuzynkę, kuzyn ciotkę, ciotka wujka i tak dalej. One wszystkie są ze sobą sparte na ament. To się u nich nazywa koligacja, koligacja, szanowny panie, furda pieniądze, furda zdrowie, furda zdrowy rozsądek, koligacja, panie, to u nich ważne" Komentuje to Stankiewicz obserwując swoją polską rodzinę: "Tak, tak - mówił do siebie - to jest jedna rodzina, i to nie najlepsza". Można by nawet powiedzieć, że Polacy wyrodzili się w zdegenerowany szczep "obronców wolności". I znów powraca: "Może jesteśmy już przerasowani, zdegenerowani". Bez

znaku zapytania na końcu. Za to z dopełnieniem: "Jedna ze starszych pań, co nadal siedziały pod niebem, zaintonowała pieśń, którą po chwili podjęli pozostali. Była to wzruszająca historia żołnierza walczącego w imię jakiejś ważnej i szlachetnej, a więc z góry przegranej sprawy. Stankiewicz ścisnął w gardle".

x x x

I oto współczesne echo tamtego czasu: "Warto być wciąż gotowym do wkroczenia w ten świat wierności sprawom z góry przegranych". To słowa Adama Michnika pisane w mokotowskim więzieniu. Ale czy rzeczywiście warto? Jak na to zareaguje Stankiewicz? W pewnym momencie ciotka zwróciła jego uwagę na potężne forty po lewej stronie drogi: - To Cytadela - powiedziała z ożywieniem - tu siedzą najdzielniejsi i najuczciwsi Polacy. Wtedy poczuł, że musi dać upływ tej irytacji, która powolutku zbierała się w nim podczas całego pobytu/.../: - Droga ciociu, nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy się rozczulać nad losem ludzi, którzy z różnych względów muszą być od społeczeństwa odseperowani, bo w społeczeństwie żyć nie mogą. I to zupełnie obojętnie, czy jest to dziewczyna, która sprzedaje się na ulicy, czy anarchista, który wali bombę w pociąg urzędnika państwowego. - Uderzył się ręką po kolanie i dodał ze złością: - Jedna swołócz!"

Cóż - z pewnego punktu widzenia można oglądać to wszystko, co się dzieje w historii Polski, jako naruszenie jakiejś normy: wtedy "najuczciwsi i najdzielniejsi Polacy" stają się po prostu kryminalistami, zaś oddziały powstańcze - jak w opowiadaniu "Powrót" - traktowane są jako bandy. Powstanie Styczniowe z tej perspektywy wygląda następująco: "Band zrobiło się coraz więcej i już nikogo się nie bały i przed nikim nie czuły moresu, a gdy zaczęło się zbierać na lato i chłopcy szykowali się do drugiego pokosu, ze wschodu i z północy nadeszło wojsko, najpierw kawaleria, potem artyleria i piechota, na końcu Kozacy. W lasach dochodziło do strzelaniny, niektórzy mówili nawet o bitwach, potem armia odeszła, a bandy zniknęły, tylko jeszcze tu i ówdzie o nich wspomniano, ale to już była mizerota taka, że nawet chłopcy się ich nie bali, tylko jak się dało, to łańcuchem przez łąkę i po krzyku. Na jesieni byłby już spokój, gdyby kozactwo gwałtów nie czyniło". Ot i wszystko.

x x x

Eustachy Rylski, autor obu opowiadań, podjął trud spojrzenia na "sprawę polską" z innego punktu widzenia niż ten, do którego przyzwyczaili nas nasza literatura. Oczywiście - ten problem jest tylko jednym z wątków książki i byłoby niesprawiedliwością redukcja jej wyłącznie do opisu "sprawy narodowej". Rylskiego interesują przede wszystkim portrety osób: w pierwszym opowiadaniu "wynarodowienie" oficera Huberta Stankiewicza w drugim zaś rodziny Rogoyskich, która, przybywszy z niewiadomego kierunku, osiadła w środowisku polskiej szlachty. Za każdym więc razem mamy do czynienia z obserwacją polskich problemów niejako z zewnątrz, z dystansu. Bohaterowie Rylskiego są ludźmi, dla których owa "sprawa polska" jest czymś ob-

cym i niezrozumiałym. Obcy i niezrozumiały jest też dla nich ethos polskiej szlachty, w której środowisku przyszło im żyć. I właśnie z tego punktu widzenia Polacy jawią się jako szczep wyrzucony z głównego nurtu historii, jako wyspa anachronizmu zagubiona w żywiole przemian świata.

x x x

Rylski jest debiutantem od razu wkraczającym w jeden z najtrudniejszych problemów naszej kultury, podejmującym zmagania z polskością. Chwył, którym się posłużył, próba spojrzenia "z zewnątrz", z dystansu "obcości" - wydaje się funkcjonalny. "Polskie problemy" uzyskują w tej twórczości odmienną proporcję niż w obrazach niesionych przez pisarstwo romantyków czy Sienkiewicza. Nie jest to,

ciąg dalszy strona 4



Ewa Nawój

x x x

Kiedy przechodzę przekątną ścieżką przez twój pokój zasypany liśćmi jestem jeżem nigdy nie widziałeś takiego zwierzęcia wstajesz z łóżka by mnie dotknąć z ciekawością Obcych przedmiotów dotyka się ostrożnie śliniąc palec co ma chronić przed poparzeniem podchodzisz do mnie ale widzę jak pośliniłeś palec i twoje ciekawskie oczy kulę się robię się coraz mniejszy i kłujący aż w końcu w złości wybiegam na ulicę Zle się schowałem pod rozchybotaną płytą chodnika Beładny tłum uciekających zwarte szeregi gonących szczypią mnie oczy płyta chybcze się na razie nieznacznie pod uderzeniami podkutych butów

Ewa Nawój zadebiutowała w roku 1978, Drukowała wiersze w "Nowym Wyrazie".

oczywiście, zjawisko w naszej literaturze nowe - dość przywołać Norwida, Żeromskiego /"Rozdziobią nas kruki i wrony"/, Gombrowicza, Miłosza czy Miłosza. Ale też jest to nurt naszej literatury budzący dość silne emocje, oskarżany na ogół o kwestionowanie polskości. Chodzi tymczasem o wydobycie owej kultury z paraliżujących ją schematów. Nie jest bowiem rzeczą pisanarza schlebienie narodowi, lecz przede wszystkim jest jego obowiązek pytanie o sens naszego losu, a to oznacza, iż konieczne jest nieustanne ponawianie kwestii dotyczących tożsamości naszej kultury, rozbijanie jej stereotypów. Jednym ze sposobów spełnienia tej powinności jest - jak u Gombrowicza - bunt przeciw polskości. Innym jest spojrzenie oczyma "obcych" x x x

"Szlachetność, niestety..." - powiada Czesław Miłosz charakteryzując stan obecny polskiej kultury. Narzeka na "anielskość" tej kultury Zagajewski. Ale nie jest tak źle: "Polacy to naród śmiertelnie poważny - pisze Antoni Pawlak. - W każdym razie siebie traktują ze śmiertelną powagą. Nie uznają żadnych żartów, ani tym bardziej ironii. Przecież odczytanie ironii wymaga zbyt wielkiego wysiłku intelektualnego". I kończy buntowniczym: "odwal się Polsko".

Cóż - Polacy to naród przede wszystkim śmiertelnie zagrożony, tak przynajmniej się czuje, a to nie sprzyja żartom i ironii, choć żarty i ironia /co widać choćby w literaturze Czechów i Słowaków/ mogą się okazać skuteczniejszą formą samoobrony niż śmiertelna powaga. Książka Ryłskiego wyzwala ironiczny dystans wobec "sprawy polskiej". W tym jej niewątpliwą przewagą nad "szlachetną anielskością". Pozwala odrzucić polocentryzm na rzecz ostrzejszego widzenia polskości. Więcej: pozwala na uniwersalizowanie "sprawy polskiej" i uzyskanie przez Polaków statusu pełnoprawnych obywateli współczesnego świata - czyli: na wyzwolenie ich z okowów zaściankowej mentalności.

L.S. ■

Eustachy Ryłski "Stankiewicz. Powrót". Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1984, s.304

Kronika

Wrocław

W Galerii na Ostrowie obrazy i grafiki /z cyklu "Niuanse"/ wystawia Marek Sapetto z Warszawy, laureat Nagrody Kulturalnej Solidarności za 1983 rok ■

Dziękujemy:

Komitetowi Kultury Niezależnej za pomoc przy wydaniu ośmiu numerów "Wyboru"

"G" za 100 FF

Pismo o sprawach kultury
Redaguje zespół.
Numer zamknięto 25.06.1985
Druk: Niezależna Oficyna
Wydawnicza "Nowa"
Cena 30 zł.

WYBÓR

Świadomość tradycji

Po raz pierwszy od wielu lat spotykamy w sztuce tak wyraźny powrót do tradycji, i to do tradycji malarskiej sensu stricto. Do umiejętnego wykorzystania koloru, budowania kompozycji, operowania światłem, wreszcie do klasycznego, "akademickiego" rysunku. Awangarda XX wieku zaprzęczyła tym wartościom, wyeliminowała je, sprowadziła sztukę do konceptualnego punktu - zapisu nie wymagającego w ogóle realizacji.

I oto wartości te wracają. Wracają, co znamienne, w malarstwie młodych, zbyt wyraźnie by nie dopatrywać się w nich czegoś więcej niż czysto prywatnych upodobań. Powrót odbywa się zarówno na płaszczyźnie warsztatu wymagającego solidnych umiejętności, jak i tematyki, która przestała być pretekstem do integrujących formalnych rozgrywek na płótnie a stała się sprawą istotną, ba, nadrzędną. Odnosi się wrażenie, że znów obraz powstaje po to, aby opowiedzieć jakieś zdarzenie, podzielić się myślą, dać wyraz własnym uczuciom czy przekazać wyznawaną przez siebie ideę. Prezentowana w warszawskim Muzeum Archidiecezjalnym twórczość dwu młodych krakowskich malarzy Grzegorza Bednarskiego i Tadeusza Boruty jest tego przykładem szczególnie dobitnym.

Wielkie płótna Tadeusza Boruty mają za naczelny temat człowieka - cierpiącego, umęczonego, umarłego. Nie jest to jednak człowiek rozbity, pozbawiony osobowości. Przeciwnie, w malarstwie Boruty przez swe cierpienie nabiera on godności, wielkości. Tajemnica śmierci, która nie jest końcem wszystkiego, zarys postaci pod okrywającym ją całunem niosący obietnicę ciała zważonego i uwielbianego - to główne motywy jego obrazów i rysunków przesiąkniętych atmosferą skupienia i powagi.

Kompozycja zredukowana do zasadniczych elementów, światło zgodne z naturalnym układem a zarazem mistyczne, gesta materia malarska i napięcie emocjonalne tej twórczości, każą myśleć o tradycji hiszpańskiego baroku, owej sztuki bodaj czy nie najgłębiej, najbardziej przejmująco i najzarliwiej religijnej. A jednocześnie właśnie poprzez nadawanie obrazom jedynie sugestii sakralności, poprzez owo oscylowanie znaczeń, poprzez wynikające stąd uogólnienia i refleksje dotyczące tego co ludzkie i tego, co boskie jest Tadeusz Boruta malarzem w pełni nowoczesnym - nie w sensie awangardowych poszukiwań, których się wyrzeka, ale w najgłębszych warsztatach filozoficznej refleksji, jaką niesie jego malarstwo.

Inna zupełnie jest twórczość Grzegorza Bednarskiego /choć i u niego znaleźć można elementy tradycji XVII wiecznego malarstwa Hiszpanów/. Dramatycznie rozrzucone na ogromnych płótnach czaszki, szkielety, gwałtownie poruszone materie każą myśleć o tzw. "emblemach", malarstwie mówiącym z grozą i rozpaczą o śmierci, przemijaniu, znikomości i kruchości tego, czym jest człowiek w swej ziemskiej, cielesnej postaci. Owa "vanitas"

obecna jest w obrazach Bednarskiego. Jest w nich zarazem coś odmiennego, coś, czego tamta sztuka nie знаła. O ile najbardziej nawet dramatyczne i rozpaczliwe wizje baroku były spójne, harmonijne, tworzyły z poszczególnych elementów i okrucich ludzkich szczytków c a ł o ś ć, o tyle w obrazach młodego malarza z końca XX wieku panuje rozkład. Nie tylko rozkład ciała - ale rozkład spójności świata. Odnosi się wrażenie, jakby Bednarski rozpaczliwie próbował zebrać w całość to, co już całością być nie może - szkielety stały się anatomicznymi preparatami, czaszki osobnymi przedmiotami zawieszonymi w obojętnej przestrzeni, które artysta na próżno usiłuje nadać sens. A wśród nich wyłaniające się z nicości głowy o szpatmatycznych grymasach, o rozwartych w straszonym krzyku ustach. Podobnie w, znakomitych zrsztą, pastelach gdzie nie do końca określone postacie gwałtownym gestem, jaskrawym kolorem krzyczą o swojej, czy może naszej wspólnej rozpacz i przerażeniu.

Wizja przerażająca, odpychająca i pociągająca zarazem, budząca odruch protestu ale jakże bliska naszym odczuciom. Świat malowany gorączkowo, szerokimi ruchami pędzla bez troski o niuanse i subtelności świat z zamierzenia niedokończony, uchwycony w jednym widzeniu, w jednym momencie dziejącego się wciąż rozpadu, narastającej wciąż rozpacz.

K.Rytarski ■

"Świadomość tradycji" - wystawa malarstwa i rysunku Grzegorza Bednarskiego i Tadeusza Boruty Muzeum Archidiecezji Warszawskiej maj-czerwiec 1985

Bez komentarza

W osławionym Zespole Filmowym "Profil" reżyser Mieczysław Waśkowski realizuje film wg własnego scenariusza pt. "Berlin West". Roman Wilhelm, który wstępnie zgodził się na zagranie głównej roli, po "uroczystym" obiedzie wydanym na jego cześć zgodę swą wycofał. Zaangażowani ostatecznie aktorzy - Janusz Zakrzęski i Witold Pyrkosz otrzymają po 600 miliona złotych. Koszty filmu znacznie wzrosły gdyż zdecydowano, że 60% zdjęć kręcić się będzie w autentycznych plenerach - czyli w Berlinie Zachodnim. Film jest o polskich gastarbeiters.

Kronika

xxx

20 czerwca br. zmarła w Monachium w wieku 72 lat Barbara Toperska-Mackiewicz - publicystka i pisarka /m.in. powieść "Siostry", zbiór opowiadań "Droga nani" - wspólnie z mężem Józefem Mackiewiczem/.

xxx

W Genewie przyznano Nagrodę Literacką Fundacji im. Kościelskich za rok 1985. Za dzieło krytyczne pt. "Gra w Gombrowicza" otrzymał ją Jerzy Jarzębski.

xxx

W Paryżu, nakładem wydawnictwa "Libella" ukazała się powieść Hanny Krall pt. "Sublokatora".